

Marian Korasiewicz

MOJE WSPOMNIENIA Z BUDZENIA SIĘ DO ŻYCIA ZAKŁADU WIKLINIARSKO - KOSZYKARSKIEGO W RUDNIKU NAD SANEM



Jako jeden z najdłużej tu pracujących, powziąłem zamiar przelać na papier przeżycia z Zakładu, a równocześnie i moje. Nie będzie to jakiś popis literacki, ale wydobyć z kosza i zobrazować, w jak najbardziej zwężonej formie – ginącego w zapomnieniu – okresu „ząbkowania” Zakładu, który z dnia na dzień potężniał, a dziś staje już – niemal – w pełni swojego rozkwitu.

Z końcem lipca 1954 r., za namową ówczesnego dyrektora Krakowskich Zakładów Wiklinowo-Trzciniarskich, inżyniera D. Gołogórskiego, którym podlegał wówczas nasz Zakład, zdecydowałem się objąć w nim kierownictwo.

Zabudowanie i wszelkie urządzenia zakładu były zaledwie w początkowej fazie budowy. Organizacja pracy czy produkcji była również dopiero w powijakach. Powstawał więc Zakład prawie z niczego! Prowizoryczne biuro mieściło się wówczas w obecnym magazynie przy ul. Daszyńskiego. W parterowej części tego magazynu, oddzielono ścianką wąską izbę, w której postawiono piec kuchenny, mający służyć w zimie do odgrzewania posiłków oraz ogrzewania lokalu z czterema pracownikami umysłowymi. Tu mieściło się wszystko: kierownictwo Zakładu, kadry, produkcja, rachuba i księgowość, zaopatrzenie i zbyt, administracja, spedycja, magazynier i w ogóle wszystkie działy.

Przerób wikliny odbywał się na terenie Spółdzielni Produkcyjnej w Kopkach – ca 2, 5 km za Rudnikami – latem pod gołym niebem, a zimą praca koncentrowała się w poniemieckiej szopie, zadymionej żelaznym piecykiem. Warunki pracy pod każdym względem były bardzo